



Warszawa dnia 25 Września / 7 Października 1868 roku.

Nr 40. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. 1. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.

ŚWIATOWID.

Oboczny rysunek wyobraża słowiańskiego bożka Światowida, albo raczej jego posąg, znaleziony r. 1848 w rzece Zbruczu, na Podolu galicyjskiem. Widzimy tu pomieniony posąg tak jak wygląda z każdéj strony, a więc w czterech figurach. Posąg ten jest w kształcie czworobocznego słupa, z jednego kamienia wyciosany, wysoki na 4 ¼ łokcia, szeroki jest zarówno u dołu, jak u góry na stopę kwadratową.



Światowid.

W rzeźbach, któremi boki posągu są okryte, nie należy szukać, ma się rozumieć wdzięku estetycznego, bo o tem w owe czasy słowiańscy nasi przodkowie nie troszczyli się, ale raczej myśli, jaką rzeźbiarz w grubych tych wyciosach chciał wyrazić. Słup cały, jak widzimy, ma trzy działy, wznoszące się jeden nad drugim i oddzielone pasami, od dołu są na trzech bokach trzy męzkie wąsate przyklękłe postacie, podtrzymujące rękami wyższe części rzeźby; na czwartym boku słupa nie ma żadnej postaci. W wyższym podziale słupa, widzimy na wszystkich czterech bokach cztery niedorosłe stojące postacie kobiece. Nad tym środkowym podziałem, wznoszą się na pięć przeszło stóp wysokie, po czterech bokach słupa, cztery dojrzałego wieku osoby, jednym wszystkie pokryte kapeluszem. Na obwisłej po golenie sukni jednej z tych postaci, wyciosany jest koń i miecz u pasa zawieszony.

Opisawszy zewnętrzną postać posągu, zobaczmy teraz kto był ów Światowid? Na początku już niniejszego artykułu powiedzieliśmy: że załączony rysunek wyobraża słowiańskiego bożka. Teraz dodamy nadto, że bożka najznakomitszego, którego świątynia znajdowała się niegdyś w Arkonie, na wyspie Rugji. [1]) Wznosiła się ona pośród miasta, a lubo była drewnianą, odznaczała się przecież wytwornością budowy. Otaczający ją parkan jedno tylko miał wejście. Świątynia rozdzieloną była na dwie części: tylną, otoczoną ścianami i pokrytą czerwonym dachem; i przednią bez ścian, których miejsce zajmowały rozwieszone na czterech słupach świecące opony. Dach był wspólny z tylną częścią. W przybytku stał ogromny bałwan o 4-ch głowach wyobrażający Światowida. W prawej ręce trzymał róg metalowy, napełniony miodem, z którego

[1]) Wyspa Rugja, przezwana dziś Rugen, leży na morzu Baltyckiem, u północnych brzegów Pruss, do których obecnie należy.

kapłan o urodzaju następnego roku wróżył. Lewą rękę, w łuk zgiętą, opierał na biodrze. W pobliżu posągu leżało wędzidło, siodło, miecz, oraz inne godła bóstwa, a w stajni stał koń biały, przeznaczony na usługi bałwana. Świątynię tę zburzyli Duńczyczy w r. 1168, a mniejszy posążek Światowida zabrali z sobą do Kopenhagi, gdzie dotychczas jest zachowany.

Na wyspie Rugji, gdzie ta świątynia stała, przebywał najwyższy kapłan, posiadający nieograniczoną władzę. Na utrzymanie świątyni i jéj kapłanów rugijanie znaczny podatek płacili; była też przy niej straż z 300 jeźdzców złożona, która wszystkie wyprawy na korzyść bóstwa odbywała. Lud mniemał, że w czasie boju Światowid dosiadał swego konia i przewodził zastępom, a ztąd chowano go w wielkiem poszanowaniu, i nikt oprócz wielkiego kapłana, nie śmiał go dosiąść. Koń ten używany był do wróżby przed rozpoczęciem wyprawy. W tym celu układano na ziemi trzy rzędy kopji, i jeżeli koń prowadzony przez najwyższego kapłana, wstąpił najprzód lewą nogą, wyprawa musiał być zaniechaną. Podobnież wróżbę wyprowadzano z tegoż konia przed rozpoczęciem wypraw morskich, a pomyślność uważano dopiero z potrójnego rozpoczęcia chodu prawą nogą.

Światowid jako bóg wojny i zwycięztw, odbierał znaczną część łupow wojennych, z wypraw tak lądowych, jak i morskich, przez co utworzył się bogaty skarbiec pod dozorem najwyższego kapłana. Skrzynie, w których się owe skarby mieściły, otwierały się na potrzeby wojny, gdy szło o obronę ojczyzny i religji. Światowid opiekował się i rolnictwem. Corocznie, po żniwach, lud zbierał się przed świątynią. Dniem wprzódy, kapłan najwyższy, który sam tylko miał wolny wstęp do świątyni, trudnił się jej zamiataniem i oczyszczaniem. W ciągu tej roboty dech w sobie zatrzymywał i co chwila dla schwytania świeżego powietrza podbiegał ku drzwiom świątyni, by nie znieważyć bóstwa ludzkim oddechem.

W sam dzień uroczystości wynosił kapłan róg wzięty z rąk Światowida i napełniony przed rokiem miodem, by się przekonać czy go nie ubyło. W takim bowiem razie nieurodzaj był pewny, i przeciwnie, jeżeli róg był pełny. Miód z rogu wylewał na podnóżek posągu, poczem bił pokłony i odmawiał modlitwy, w końcu róg nowym miodem napełniał i wypijał, a powtórnie napełniony, posągowi w rękę wkładał.

Następnie wynosił bochenek chleba, wielkości człowieczego wzrostu, i stawiając pomiędzy sobą a ludem pytał, ażali go widzą? A gdy potwierdzającą otrzymał odpowiedź, wygłaszał życzenie, by przy obfitości plonu na rok przyszły, chleb go całkowice zakrywał. Po ukończonym obrzędzie, według słowiańskiego zwyczaju, chojna rozpoczynała się uczta, pod czas której często poświęcano Światowidowi krawe ofiary, nie tylko ze zwierząt, ale i z ludzi.

W końcu nadmienić wypada że Światowid cześć odbierał nie tylko w Rugji, ale w krajach nadwiślańskich, na Rusi i w Czechach. Posąg zaś jego, znaleziony w Zbruczu, a wyobrażony na naszym drzeworycie, znajduje się obecnie w zbiorach towarzystwa naukowego Krakowskiego. *M. K.*

PO ŚLUBIE.

Czy się mój domek co stoi w dali
Przemienił w zamek ludny, wysoki,
Bo tak coś błyszczy, tak się kryształi,
Tak czoło wznosi gdzieś pod obłoki,
Pnie się do słońca, czy do księżyca,
Jakby mu ciasną była ziemica?
Ani ten domek z zamkiem się mierzy,
Ani kryształy na nim się świecą,
Ani do słońca pokorny bieży,
Gdzie dumne orły z wiatrami lecą,
Tylko spoważniał od tej godziny,
Mieniąc się tęczą jak ranna rosa,
Kiedy weń wstąpił skarb mój jedyny—
Ma jasnowłosa.

Czy to nie róża na samym progu
Mojego domku w purpurze rośnie,
I kwitnie sobie ludziom i Bogu,
Jak najwonniejszy kwiateczek w wiośnie,
A w niej brylanty czy gwiazdy może,
Igrają sobie promienne hoże?
Nie, to nie kwiatek w progu wykwita,
Ni to z brylantów takie jasności,
Ani to róża w szkarłat owita,
Ani tam żadna gwiazdka nie gości;
To czarne oczy, to ust karminy,
To niby wstęga złocista kosa,
To strój godowy, strój mój jedyny -
Ma jasnowłosa.

Czy w moim domku nucą anieli,
Czy śpiew słowików w nim się rozlewa,
Bo tak się serce jakoś weseli,
Tak się uczuciem świętem zagrzewa,
Aż mi się wszystko w prostocie zdaje,
Że Bóg sam ze mną ciągle przestaje?
Ani to ptaszek tak mnie zachwyca,
Ani to słowik pieśnią mię głuszy,
Ani anielska nawet żrenica
Kołysze drgnieniem strun mojej duszy,
Tylko ta moja jedna, jedyna,
Co myśl mi wznosi aż pod niebiosa,
Mojej radości cel i przyczyna—
Ma jasnowłosa.

Franciszek Gumowski.

ŚWIETNE WYCHOWANIE I SZKOŁA NIESZCZĘŚCIA.

(*Ciąg dalszy*,—patrz N. 39-ty).

Kublicki w pierwszej chwili zawrzał strasznym gniewem na tę zniewagę, lecz w moment zmiarkowawszy, co się to święci, uznał, że nie wypada z pijanym się zadzierać; odrzekł więc najspokojniej, jak tylko zdołał:

— Najpokorniej przepraszam, i winnym się uznając, sam siebie chcę ukarać za wykroczenie, prosząc abyś mnie pan odprawił.

— Odprawił! — wybuchnął Michał, ja ci tu dam odprawę! ja ci pierwej na twojej skórze świadectwo o uczciwej służbie napiszę!

Kublicki, jakkowiek się hamował całą potęgą woli, był wszelakoż tak poruszony, iż go najliteralniej jakby febra gwałtowna trzęsła, i usta nie chciały być posłuszne rozkazowi rozsądku.

— Panie Michale! — krzyknął — może lepiej jutro się rozmówiemy; panu wprzódy przespać się trzeba!

— Ha łotrze! — zgrzytnął Michał z wściekłością, przyskoczywszy do niego z pianą na ustach. Pięść zawinął z impetem i byłby mu potężny pewno wyciął policzek, gdyby ten w mgnieniu oka silną prawicą nie zatrzymał ciosu w powietrzu. Michał drugą rękę znów podniósł, ale i druga w jego dłoni uwięzła, zwarłszy się tak oba, stali przez krótką chwilę: napadnięty blady jak marmur, napastnik ciemnokrwawy, jak porfir; z oczyma jeden drugiemu w twarz ciskał te straszliwe płomienie, jakiemi ich serca pałały. Aż nareszcie Kublicki wszystkie siły zebrawszy, tak dzielnie pchnął od siebie pana Michała, że ów się aż na środku pokoju znalazł, mało co na znak nie runął; nim zaś równowagę odzyskał, nim opamiętać się zdołał, ekonom już się wyniósł za drzwi szczęśliwie i dopadłszy swej bryczki, co tchu kazał pędzić do domu.

Na nic by się nie zdał ten pośpiech, gdyby Pan Bóg w tę porę nad nieszczęśliwym jeszcze nie czuwał, gdyby w tymże momencie nie stanęły u ganku dworu dwa powozy z piękną kompanją kilku druchów pana Michała, który z nimi się spotkawszy w sieniach, dokąd wypadł w ślad za Kublickim, oszalały z pasji niezmiernej. Na razie przeszkodzili mu spełnić niecny zamiar zemsty najdzikszej.

W jakiem usposobieniu Kublicki do rodziny swej wracał, to niełatwo opisać, ale łatwo pojąć każdemu, kto choć iskrę ma w sercu poczciwego uczucia, byleby się zechciał postawić w jego smutnej pozycji. Znając awanturniczy, gwałtowny charakter niegodziwego Michała, pewny był, że nie puści mu płazem i że mścić się będzie najsrożéj; a jakkolwiek boleśnie czuł tę ciężką zniewagę, którą słowem i prawie czynem przed chwilą mu zadano, jakkolwiek i sam kipiał chęcią odwetu, spodziewanie tej zemsty kazało mu na ten raz, zapomniawszy co było, myśleć tylko o środkach jak uniknąć tego, co nadal grozi? jak ochronić żonę i dzieci od widoku sceny haniebnej, która się lada moment może przy nich odegrać, jeżeli Michał na prawdę zechcę *świadectwo mu pisać na skórze?* jak ratować własną cześć swoją bez dopuszczenia się zbrodni, przez którąby siebie i rodzinę zgubił najpewniej?!

Z razu na myśl mu przyszło, żeby zamiast do domu, udać się w prost do Hatki i ztamtąd co najrychléj słać furmanki po swoich; ale mógłże ich losy zdać na łaskę pana Michała? mógłże się po tchórzowsku ukryć za kobietę i dzieci, wystawiwszy je na najpierwszy ogień bezbronne?! Poczciwe jego serce odepchnęło ze zgrozą taki pomysł haniebny i innego szukać kazało. Więc po chwili powziął był zamiar, żeby prosić o pomoc swych kolegów-oficjalistów, wezwać kilku z Hreczyna, żeby się do Jemiołki za nim udawszy, jako wierna załoga stała przy nim dopóty, dopóki się skuteczniejsza rada nie znajdzie na zawziętość pana Michała; lecz i to rozważywszy gruntownie, uznał za niewłaściwe, przekonał się że na kolegów trudno liczyć w tym względzie, bo Michał od nich wszystkich silniejszy, dzięki swojej pozycji, potrafi za ten straszny bunt przeciw sobie dobrze im później a wszystkim dać się we znaki! co wiedząc, pewno nie zechce żaden narażać się za cudzą sprawę i niebacznie plątać się w awanturę, ze wszech miar niebezpieczną.

Nic więc nie pozostało, jak w Bogu szukać ratunku, z rezygnacją głowę wobec Jego woli uchylić, ostać tam gdzie sumienie i serce każe. Modląc się więc w duchu gorąco, pospieszał biedaczysko do domu, sam niewiedząc co pocznie, jeśli Michał za nim tam wpadnie i zechce się gwałtu dopuścić? I raz w raz to dreszcz zimny skroś go przejmował, to warem krew do twarzy biła wzburzona; co raz większy zamęt w głowie powstawał, w uszach jakby dzwony huczały, w oczach mu się to ćmiło, to iskry migotały ogniste, i łzy gorzkie, gorące paliły mu powieki.

Kiedy wrócił na folwark, ledwie we drzwiach się zjawił, żona co ku niemu wyszła na spotkanie, rzuciła bystrym okiem, a w twarz mu spojrzawszy, załamała ręce boleśnie i krzyknęła z wielkim przestrachem:

— Co ci jest?. Co się stało, na miłość Boga!

— Nic mi, moje kochanie! odpowiedział Kublicki, starając się uśmiechnąć, a ledwie mogąc głosu z piersi wydobyć. Coś mi trochę niedobrze; zmęczyłem się, przeziąbłem... a tu kłopot na głowie... trzeba nam się zaraz wybierać, pakować się do drogi, żebyś jutro raniutko ty przynajmniej z dziatkami mogła już stąd wyjechać.

Kublicka przerażona, blada i drżąca, oczy w nim osłupiałe utkwiła, i składając ręce błagalnie, zawołała prawie z rozpaczą:

— Ignacy! ty coś taisz przedemną! Powróciłeś tak prędko, taki zmieniony, blady! okropny!... Ah Boże! ten nikczemnik musiał cię skrzywdzić!!

— Powróciłem; odrzekł jej na to, - bo nie było z kim gadać; Michał z przeproszeniem spił się jak bela.

— I cóż?! cóż ci powiedział?

— Odrazu wymierzył się okrutnie, ja więc pomiarkowawszy, że na próżno psućby z nim gębę, poradziłem mu, żeby pierwéj się przespał, i pojechałem do domu. Ale nie traćmy czasu. Spakuj wnet wszystkie swoje i dziecinne manatki, żeby na jutro prócz pościeli nic nie zostało; bo do dnia wyruszycie do Hatki. U arendarza najmę dla was budę od słoty.

— A ty? — zagadnęła Aniela.

— Ja zostanę, żeby zdać folwark i przewieść resztę naszej chudoby.

— To dla czegoż mnie ztąd wyprawiasz?

— Ej Anielciu, nudna bo jesteś z temi pytaniami bez końca! niecierpliwie odparł Kublicki, dla czego i dla czego! Dla tego, że z tym Michałem, to jakby z psem szalonym! Odgrażał się straszliwie i jak nic jakąś burdę zrobić nam gotów.

— A widzisz! — wykrzyknęła Kublicka. Ty mi całej prawdy nie mówisz!... Ale już się pytać nie będę, tylko jak mi Bóg miły, tak bez ciebie ztąd się nie ruszę!

— Anielciu! ja ciebie proszę!

— Nie pojadę!

— Jakażę!—krzyknął z rozdrażniem niezwykłem.

Kublicka spojrzała nań zdumiona; a wtem dał się słyszeć w dziedzińcu tętęt cwałującego konia, który nagle ustał przed gankiem i przejął ich zgrozą oboje. Chwilę stali jak wryci, oczyma osłupiałemi patrząc jedno na drugie, ale gdy drzwi skrzypnęły w sieniach, Ignacy obejrzał się po izbie i nieznacznie w kąt się usunął, w którym stała strzelba nabita, a żona poskoczyła szybko przed niego i stanęła na przedzie, jakby pragnąc

swoją osobą od napaści męża zasłonić; pewni byli, że nie kto inny, tylko Michał się zjawił! Ale się omylili na szczęście: był to tylko goniec ze dworu, przysłany z zaleceniem surowem, które jak mógł, poczciwiec starał się najłagodniej popowtórzyć, aby nazajutrz do południa najdalej, ekonom się wyniósł z Jemiołki, inaczej bowiem będzie wyrzucony z całem swojem gniazdem i z dobytkiem na czyste pole.

— Dziękuję! — rzekł Kublicki prawie z radością, bo mu ciężki kamień spadł z serca od kiedy się przekonał, że obawy jego były niesłuszne. Poproś tylko kogokolwiek z officjalistów, żeby choć regestra przyjął odemnie. Myślałem że pan Michał inaczej mi zaśpiewa!

— I pewnoby zaśpiewał! — odpowiedział posłaniec; ale na pańskie szczęście goście go zatrzymali w samym rozpędzie, choć namęczyli się dobrze, nim go uchodzili nareszcie.

— Kłaniaj się jemu odemnie! — rzekł Kublicki z uśmiechem, — a wszystkich dobrych ludzi od nas pożegnaj i poproś, żeby nam odpuścili jeśli co mają do nas.

— Za cóżby drogi panie? — odrzekł posłaniec; niech wam Pan Bóg to daje, czego my wam życzymy! A tym czasem szczęśliwej drogi!

Pokłonił się i wyszedł.

— Otóż i stanęło na twojem! — rzekł Kublicki do żony: pojedziemy razem oboje. Bierzmyż się do roboty co żywo, bo nie długi termin nam dano! — czegóż płaczesz?

— Sama nie wiem, — łkając odrzekła, czy z radości, czy z żalu. Cieszę się, że odwrócił Pan Bóg wielkie nieszczęście, a gorzko mi pomyśleć, w co się nasze dobro obróci przy tych przenosinach raptownych!... ile straty! ile to kosztu.

— Cóż robić? żeby się choć na tem skończyło! odparł z ciężkiem westchnieniem, i zaczął się krzątać po domu, znosząc kufry i paki przy pomocy czeladzi, i składając różne drobiazgi, które żona mu podawała.

Zrazu szło to dość żwawo; ale po niejakim czasie biedny wygnaniec uczuł utrudzenie niezmierne: krzyże go rozbolały okropnie, załamały po kościach; to zimno to gorąco mu się robiło; wciąż doznawał zawrotu głowy i ledwie się mógł trzymać na nogach, które drżały i uginały się pod nim. Coraz więcej musiał nieborak, porzuciwszy robotę, siadać i odpoczywać; radby się był nawet położył; ale i żony nie chciał trwożyć swoją niemocą, pilno mu było skończyć robotę. Walczył więc i nie poddawał się póty, aż nim wyczerpawszy siły ostatek, nie upadł nieprzytomny na skrzyni, którą chciał przesunąć z miejsca na miejsce.

Kublicka przerażona, przypadła doń z czułem pytaniem, ale jękiem tylko jej odpowiedział, napróżno usiłując się podnieść. Biedna ekonomowa, drżąc i płacząc z przestrachu i boleści serdecznej, przy pomocy służących przeniosła go do łóżka, i nie myśląc już wcale o pakowaniu rzeczy, nad tem się rozbijała tylko nieboga, żeby domowemi lekami jakąś ulgę przynieść mężowi, który w co raz większą wpadał gorączkę, jęczał i majaczyć zaczynał.

O północy maligna w całej pełni się rozwinęła i już doszła do tego stopnia, że chory, nie poznając nikogo, tak się miotał gwałtownie, iż potrzeba było dwóch silnych ludzi, żeby mu się oprzeć przemocą, gdy się z łóżka gwałtem wydzierał. Lecz opór ten konieczny jeszcze w większą wściekłość go prawiał, bo mu się wciąż zdawało, że nań Michał napada, że go w twarz chce uderzyć lub *świadectwo pisać na skórze;* bronił się więc zażarcie z krzykiem i złorzeczeniem, z którego się nareszcie dowiedziała biedna Aniela, co go u Michała spotkało?

Cóż to za noc okropna była dla nieszczęsnej kobiety, której może boleśniej, niźli gorączkowe wykrzyki i miotania się męża, w duszy się odzywały, pomimowoli smutne jego wyrazy, co ją były tak srodze zatrwożyły biedaczkę, gdy ją prosił o taki pogrzeb, jaki jego bratu żona sprawiła, i kiedy jej zalecał, aby po jego śmierci matkę i ojca zastąpiła córce przybranej. A w oczach jej ciągle migała Jagusi sukieneczka żałobna, która się rozrastała w bezmiary, czarnym kirem z białą obszewką o krywając i ją i jej dziateczki, podłogę i wszystkie ściany!... A tu jeszcze niemowlę, od dwóch dni już karmione mlekiem, co płynęło z piersi pełnych goryczy, również się rozchorowało, i płacz jego żałosny nieustannie się mieszał z dzikim głosem majaczącego ojca!

O świcie wyprawiła parobka z listem do lekarza bardzo słynnego, błagając go o pomoc co rychlej. Goniec nie szczędził szkapy, lekarz spieszył także co koń wyskoczy; ale że odeń do Jemiołki było mil parę, ledwie o południu stanął na miejscu, a sześć godzin oczekiwania, sześć godzin najstraszliwszej pełnych katuszy, sześciu dniami się zdały zrozpaczonej kobiecie. Opóźnienie to jednak, jakkolwiek z jednej strony bolesne, z drugiej dobrze wypadło, bo doktór przybył jak wraz w tę porę, kiedy jego obecność była najpotrzebniejszą.

Z jakąż wielką wdzięcznością wybiegła doń Kublicka! jakże wymownie z głębi duszy zbolałej wołała o ratunek dla męża! z jakiem trwożnem oczekiwaniem starała się wyczytać jego myśli z wyrazu twarzy, gdy chorego zaczął oglądać! Niestety! twarz doktora nic dobrego nie zwiastowała, mimo słowa pełne otuchy. Był to człowiek, obok nauki, obdarzony sercem niezmiernie tkliwem, pełnem wielkiej dobroci i zacności nieporównanej. To też z nieudanem zajęciem wypytywał się u niebogi o przyczynę choroby męża i o rzeczywiste znaczenie gorączkowych jego krzyków i gniewu. A skoro się dowiedział o haniebnem zajściu z Michałem, o gwałtownym jego postępku i nieludzkim zamiarze wypędzenia całej rodziny w taką porę okropną; przejął się oburzeniem szlachetnem, wziął gorąco do serca sprawę prześladowanych, i przyrzekł najuroczyściej, że ich postara się zasłonić od nikczemnej napaści, której nieszczęśliwa Kublicka już się spodziewała co chwila, gdyż południe minęło, a oni się nie tylko nie wynieśli z Jemiołki, lecz nawet ani myśleć o tem nie mogli.

Jakoż wkrótce w dziedzińcu dał się słyszeć straszny harmider; przybył bowiem goniec z Hreczyna, którym był ulubieniec pana Michała, jedyny do wykonania niecnych jego poleceń, przybył ażeby się dowiedzieć, czy Kubliccy już się wybrali, a gdy nie, zagrać im po swojemu. To też grał, wykrzykując pod oknami zażarcie, i batogiem strasząc parobków, którym nakazywał natychmiast manatki ekonomskie wyrzucać.

W tej to właśnie okoliczności okazało się jak szczęśliwie traf zrządził, że się doktór nieco spóźnił.

gdyż bez niego najpewniej wierny sługa pana Michała, byłby się jakiejś burdy dopuścił. Doktór mu w tem przeszkodził; bo gdy wyszedł do niego, kazał mu niezwłocznie precz się wynieść z folwarku, a Michała uprzedzić że sam zaraz będzie w Hreczynie; on znając subordynacją żołnierską, i wiedząc że ten, co doń przemawia, obok rangi półkownikowskiej, ma na piersiach parę orderów, zdjął czapkę, wyciągnął się jak struna, słucham rzekł Jaśnie Wielmożny Panie! i jak zmyty umknął do Jemiołki.

Lekarz powróciwszy do izby, zaraz zaordynował odpowiednie środki domowe dla pacienta, ale przy tem nierównie więcej zajmował się samą Kublicką i jej dzieckiem najmłodszem, kilkakrotnie jej zalecając, jak się ma zachowywać ostrożnie, żeby i własne zdrowie i życie niemowlęcia utrzymać. Dodał wreszcie, że zawsze może liczyć na jego pomoc i opiekę przyjazną i prosił, aby w każdej potrzebie śmiało doń się zwracała. Ma się rozumieć, że zapłaty nie przyjął, a odjechał przyrzekłszy, że na zajutrz znów ją odwiedzi.

Przyrzeczenia wiernie dotrzymał; był nietylko na zajutrz, ale ze sześć razy przez dwa tygodnie, choć odrazu wiedział na pewno, że się pomoc jego na nic nie przyda; była to bowiem straszna tyfoidalna gorączka, z zapaleniem mózgu złączona, która po dwóch tygodniach furji najgwałtowniejszej, śmiercią się zakończyła nareszcie.

(*Dalszy ciąg nast.*)

PODRÓŻ NAD WARTĘ.

(Dokończenie, patrz N. 39).

— Mój Wacławie, spytałem raz przyjaciela, ty się lepiej znasz na tem, powiedz mi jaka jest przyczyna tego plotkarskiego życia po małych miasteczkach?

— Mnie się zdaje że nic innego, tylko próżniacstwo i brak wychowania. Człowiek z zajęciem, człowiek pewnych i dobrych zasad towarzyskich, nie ma czasu i nie gustuje w tych przekupkowych szermierkach. Tu znów przeciwnie się dzieje: taka pani Pućkowska lub Domradzka cały dzień siedzi tylko w oknie i upatruje gdzie się kto ruszy, w jakiej kto sukni lub kapeluszu chodzi po rynku, u kogo i jak często kto bywa, z kim rozmawia, z kim się śmieje — a ztąd snuje sobie i rozpuszcza najniedorzeczniejsze osobiste wymysły i intrygi. Sam tego doświadczyłeś.

Kiedy u siostry zobaczyli książkę z twoim podpisem, powiedzieli że się w tobie zakochała i żem cię tu umyślnie do niéj przywabił. Nadmieniwszy o książkach muszę ci opowiedzieć że stan literatury w Warcie i jej okolicy dosyć jest smutny. Dzieci, podlotki, dorośli i osoby w wieku, wszystko to łakomie czyta ale co? Liche powiastki, romansidła, tłumaczenia jakie takie, bez wyboru, bez ładu i składu, nie mając żadnego smaku do dzieł treści poważnej, do czytania systematycznego. Nie zobaczysz tu nigdzie ani historji, ani literatury, ani estetyki, a cóż tu dopiero mówić o ekonomji, o gospodarstwie lub naukach przyrodzonych. Z pism perjodycznych najprzód czytają powiastki i wiersze, artykuły poważniejsze zostawiając na zbicie czasu w dnie pochmurne. Ale jakże szczupło i ta gałęź literatury jest tutaj przedstawiona. W całem mieście zaledwie możesz dostać Kłosów, Opiekuna i Kurjerka. Jest to bardzo mało, prawda, ale jest zawsze coś przynajmniej. Po wsiach jest jeszcze gorzej. Wieśniacy nie czytają, bo czytać nie umieją i szkółek nie mają, a panowie, żal się Boże! mówią że bez książek i bez nauki nikt jeszcze nie umarł.

A może ci się marzy o tlejących tu obywatelskich cnotach? Nie masz ich. Zginęły w handlach win, w kartach i pomiędzy marnotrawném życiem. Gorzka to prawda, ale prawda. Dla tego też daruj mi moję śmiałość żem cię tu do siebie ściągnął, gdyż wiem że nudzić się będziesz. Ależ ja parę lat tu mieszkam, a całym światem mojém całém miastem mojém jest tylko grono rodzinne i to gospodarstwo, około którego chodzę i zabiegam jak mogę; innego życia dawno, bardzo dawno nie znam. Cóż więc dziwnego że chcąc trochę odetchnąć, odżyć i dowiedzieć się czegoś, ciebie najlepszego mego przyjaciela sprowadziłem z wielkiego świata w to ustronie? Cóż dziwnego, że pragnąc ludzi, pragnąc jednego jeszcze wesołego serca, dopuściłem się przed tobą kłamstwa, pisząc ci w liście żeś tu koniecznie potrzebny dla jakiegoś ważnego interesu. Był to niewinny wybieg, aby cię tem prędzej dostać i tem serdeczniej uścisnąć. Cóż, gniewasz się na mnie?

— Wcale nie. Owszem, takiego miejsca było mi potrzeba. A co do towarzystwa, to ty Wacławie, twoja poczciwa żona, dzieci i panna Marja wystarczycie mi za najpowabniejsze salony.

Rzeczywiście, nie spodziewałem się, aby w małem mieście, przy szczupłem pożyciu z innemi domami, przy plotkach i intrygach działanych tak przez kobiety, jak i przez mężczyzn—czas mógł mi zejść tak przyjemnie. Najmilej upływały mi godziny na poufałych, familijnych rozmowach; w nich bowiem przebijała się cała szczerość, otwartość, wiedza i zdrowy sąd Wacława i jego rodziny; w nich wyrabiały się opinje, prostowały zdania a zawsze nieomal żywa panowała wesołość. Przytem figle z dziećmi, spacery na łąki i w cudnie zarosłe góry Małkowskie, nareszcie kąpiel na bystrej i czystej rzece Warcie, przejażdżki czółnem, przechadzki w pole i książki, oto były moje rozrywki i zabawy, które aż nadto zabezpieczały mnie od nudów i których nie jeden śmiało mógłby mi pozazdrościć. Ba, byłem nawet na weselu. Służąca Wacławów wychodziła za mąż, więc rozumie się samo przez się, że musieliśmy tańczyć, hulać i prawdę powiedziawszy, zabawiliśmy się nadspodziewanie.

Lud wiejski w tutejszych stronach, następujące przy żeniaczce przechowuje zwyczaje:

Najprzód swat, przezwany drużbą, udaje się do rodziców panny młodej z flaszką wódki w kieszeni; córka za piec się chowa, a gdy przyjmie kieliszek z wódką, już interes skończony, i to nazywają *zmowinami*. W wigiliją ślubu młodziany w świąteczne przyodziani szaty, chustkami przez ramię przepasani, w towarzystwie drużby, zapraszają na wesele w te słowa:

Nawiedzają nasze nogi
Przed wasze progi;
Jesteśmy tu zesłani
Od Pana Boga,
Od pana ojca,
Od pani matki,
Od pana młodego,
Od panny młodej;
Prosimy na war piwa,

Na pieczywo chleba,
Co nam go potrzeba;
Na kieliszek wódki,
Bo mamy czas krótki;
Na wołu tucznego,
Na wieprza karmnego,
Miotłą porażonego;
Na parę kuropatw,
Żeby pan młody panny młodej dopadł.
Na parę łabędzi,
Nie te co po polu latają,
Ale co pod dachem siadają;
Byście nami nie gardzili
Do stołu małżeńskiego doprowadzili.
A wy druchenki
Spodniczki fałdujcie,
Pończoszki maglujcie,
Młodemu panu, młodej pannie,
Wstydu nie zadajcie.

W sam dzień ślubu z rana stroją głowę panny młodej, przypinając jej mnóstwo wstążek różnokolorowych i świecidełek, a na sam wierzch koronę błyszczącą, na którą ksiądz przy ółtarzu kładzie poświęcany wianek, zamiast obrączek na palce. Druchnom ubierają głowę w karbowane najjaskrawszych kolorów wstążki, a potem gdy już wszyscy gotowi, łyknąwszy na drogę anyżówki, wyruszają do kościoła. Na czele jadą konno opatrzeni batami młodzianie, za nimi wóz czterokonny z panną młodą, druchnami, mnóstwem kobiet i z muzyką, dalej jeszcze inne wozy z kobietami i wieśniakami. Muzyce wtorują kobiety śpiewaniem i klaskaniem w ręce. Po ślubie następuje uczta, kosztem rodziców panny młodej wyprawiona, a poźniej tańce najczęściej w karczmie. Nazajutrz każdy z gości przynosi w podarunku gęś, prosię, kurę, kapłona, kaszy, mąki, słoniny, soli, wódki, co kto może; wznawia się uczta wspólna, kończąca się najprędzej w dniu trzecim. Istnieje tu także nierozsądny zabobon, iż jeżeli w czasie ślubu na ołtarzu świece niejasno się palą, w takim razie małżeństwu powodzić się nie będzie. Jeżeli zaś która świeca zgaśnie, to jedno z młodych małżonków niedługo umrze. W ogóle—zwyczaje, obyczaje, zabobony i przesądy ludowe tych stron, podobne są bardzo do zwyczajów i zabobonów innych stron i okolic Polski, tak, że małe tylko odcienia zaledwie odróżniają je od siebie.

Co zaś do samego miasta, to *Warta* leży na lewym brzegu rzeki tegoż nazwiska, biorącej początek pod Kromołowem za Częstochową, a płynącej przez piękne błonia Działoszyna, Sieradza, Warty, Koła, Pyzdr, Poznania, Skwierzyna; nareszcie pod Kistrzynem złączywszy sią z Odrą, obie te rzeki razem wpadają do morza Baltyckiego. *Warta* początkowo miała być wioską, dopiero r. 1255 przez Kazimierza księcia Łęczyckiego zamieniona na miasto, które w krótkim czasie podniosło się bardzo i miało nawet swój zamek, który w roku 1331 zniszczyli Krzyżacy. Długosz w XV wieku jeszcze o tym zamku wspomina, lecz dziś ani śladu nie ma już z niego i nie wiadomo gdzie by nawet stał. Było tu kilka znakomitych zjazdów, a między innemi w r. 1640 zjazd panów świeckich i duchownych, w celu podniesienia z grobu ciała świętobliwego Rafała z Proszowic. Powietrze, ogień i Szwedzi, kilka razy to miasto niszczyli i rabowali, to też powoli upadło, i dziś ani myśli się podnieść. Nie kwitnie tu ani handel, ani przemysł, ani fabryki, a nawet trudno wyszukać dobrego rzemieślnika. Ale za to w mieście którego ludność nie dochodzi do czterech tysięcy, znajduje się 17 szynków i 2 handle win. Cóż więc dziwnego że przy tylu ogłupiających środkach, nikomu się tu nie śni o jakimkolwiek postępie. Kiedy kilkunastu mieszczanom zaproponowano trzy grosze składki miesięcznej na zaprenumerowanie Opiekuna Domowego, to taki wszczął się między nimi chałas jakby im kto majątek chciał wydrzeć. Jest tu i Szkoła Elementarna, dobrego nawet i zdolnego posiadająca nauczyciela, ale dzieci mało, bo niedbali i przemądrzali rodzice, bojąc się aby jaje nie było mędrsze od kury, na własny wstyd a zgubę gwałtem stosują do siebie to przysłowie: że niedaleko pada jabłko od jabłoni,—jaki ojciec taki syn, jakie drzewo taki klin. Skutki z tego wynikające są aż nadto jawne. Pominąwszy już pijaństwo i biedę, byłem świadkiem następującego karygodnego faktu. Pewien zamożny obywatel chcąc przyjść miastu i okolicy w pomoc, sprowadził sobie drzewo, kazał je obrobić i miał niezłomny zamiar postawić młyn wodny na rzece Warcie. Kiedy się się młynarze o tem dowiedzieli, wszczął się okropny krzyk, wrzawa i zamięszanie; nie mogli znieść tej nowości. I tyle chodzili, tyle biadali, intrygowali i nawet pieniędzy natracili, że przedsiębiorczy obywatel z przyczyny jakoby młyn na rzece sprowadzał zatapianie łąk,—poprzestać musiał wykonania swego zamiaru. Dziś zaś kiedy wiatr nie wieje, kiedy wiatraki stoją—i młynarze i miasto i okolica—zmuszeni są nie jeść ani chleba, ani bułek. Niemało też rozweseliło mnie dobre znalezienie się chłopka ze wsi Kociszuwek, znanego pod imieniem *Antosia*, a słynnego lekarza bydła na chorobę tak zwanego *paskudnika*. Było to w handlu win. Kilku miejskich koryfeuszów od paru godzin już spijało węgierski napój bez miary i liku, dowodem czego były ich różowe twarze, czerwone nosy, najeżone włosy a szczególniej zamglone i zaszłe bielmem oczy. Przez otworzone szeroko okna zobaczył ich przechodzący tamtędy Antoś. Na widok tej pochulanki i niezwykłych chumorów, pokiwał głową, uśmiechnął się a wyjąwszy z za kapoty cieniutkie szydło wszedł pomiędzy pijących i rzekł rezolutnie.

— Widzę że panowie mają paskudnika na oczach, jużem ja nieraz zdejmował go bydlakom, to może się i tutaj uda. Niech no panowie pozwolą.

Wszyscy w śmiech, ale odtąd weszło tu w przysłowie, że kto sobie podochoci, mówią mu że dostał paskudnika.

Całem upiększeniem Warty jest ratusz stojący na środku miasta i cztery kościoły: 1) Parafialny murowany, starożytny z XII, jak niesie podanie pochodzący wieku, gdzie na szczególniejszą uwagę zasługuje wielki ółtarz, tak nazwany *tryptych*, z greckiego τρι-πτυχος (tri-ptyhos), t. j. z trzech składający się części, z których dwie boczne na zawiasach mogące środkową zasłaniać lub odsłaniać. W środkowej części jest obraz Wniebowzięcia N. M. Panny i kilka scen z Starego Testamentu; w bocznych zaś jest pare wizerunków z Nowego Testamentu, a cała ta malatura wykonaną została na drzewie. Kościół ten, jakem się mógł z akt

miejscowych przekonać, był po kilka razy niszczony tak przez pożary, jako też przez burze i kradzieże. Nie widać w nim ozdób i elegancji, ale widać powagę, utrzymywany porządek i czystość, co podług mnie najlepszą jest zaletą tych, którzy około niego czuwają. 2) Klasztor OO. Bernardynów, fundowany w r. 1468 przez Gerarda z Brudzewa, Kanonika Krakowskiego. Powierzchowność téj Świątyni Pańskiej jest bardzo zachwycająca i rzadko gdzie można spotkać coś podobnego. Trzy proporcjonalne wieże, na jednej z których znajduje się zegar, niby trzy strażnice wzbijają się ku niebu i błyszczą w promieniach słońca swymi pozłacanymi krzyżami. Odwieczne lipy i dęby ocieniając starożytne mury swemi rozłożystemi gałęźmi, czarujący oku sprawiają widok, a zieleniejące przytem owocowe ogrody, zapachem fijołków i łąk rozesłanych kobiercem po za murami, ciągną tutejszą publiczność do przechadzek i miłych po pracy rozrywek. Wewnątrz Świątyni, pięknie *al fresco* malowanéj, zwraca na siebie każdego uwagę po lewej stronie, obok kaplicy S-éj Anny, marmurowy nadgrobek, zmarłego tu w XVII wieku Prowincjała tegoż zakonu, Błogosławionego Rafała z Proszowic, syna prostego garncarza. Oprócz tego wiszą tu na ścianach wielkiej wartości a ogromnych rozmiarów i różnej treści obrazy, jak np. nad kaplicą S-éj Anny, owa scena, kiedy S-y Stanisław Szczepanowski prowadzi wskrzeszonego z grobu Piotrowinę przed tron króla Bolesława, na świadectwo swéj sprawy. Szkoda tylko, że niektóre z nich przez złe obchodzenie się zostały już uszkodzone i ponaddzierane. Biblioteka klasztorna nie zawiera w sobie nic osobliwego. 3) Od powyższego, murem tylko oddzielony Klasztór Panien Bernardynek, istniejący od 1677 r., lecz taki jak dziś jest dopiero od 1768 roku. Oprócz niezłego pędzla obrazu Matki Boskiej w wielkim ołtarzu i potężnego dzwonu zawieszonego nad bramą, nic tu nie masz godnego uwagi. 4) Za miastem, wraz z cmentarzem grzebalnym, drewniany i grożący upadkiem kościółek S-go Jana Chrzciciela, sięgający najmniéj początków XVI wieku, a przy nim kaplica murowana z grobem familijnym rodziny Biernackich. Tutaj to nieraz samotny lubiłem sobie przesiadywać i dumać, bo miejsce dziwnie jakoś uspasabiało do tego. Zdala jak okiem zasięgnąć falowały kołysane wietrzykiem złociste łany; tam dalej znów środkiem łąk i zarośli płynęła sobie Warta; tu przedemną jak na dłoni widać całe miasto, wszystkie drogi i góry, a koło mnie sterczały mogiły i nadgrobki. I któżby w takiem miejscu nie dumał, nie marzył?

Pomimo przyjemnego przepędzania czasu w domu Wacława, nie zasklepiałem się przecież w jednej tylko Warcie, ale w jego towarzystwie częste robiliśmy w okoliczne sąsiedztwa wycieczki. Tak np. w dość licznej kompanji byliśmy na loteryi fantowéj i amatorskim teatrze na dobroczynność w Sieradzu. Poznałem wsie: Kalinowę, gdzie do kościoła przez płot się przechodzi; Górę, Glinno, gdzie pod górką znajduje się wrośnięty kamień, mający, podług wiejskiego podania, zakrywać skarby strzeżone przez djabła; dalej, Brodnią, Pięczniew, Popów, Rzechtę Piekarską, Drużbin i Siedlątków, gdzie w tamecznym murowanym kościele znajduje się prześliczny obraz Matki Boskiéj, w wielkiem ołtarzu. Nie wiadomo czyjego pędzla, ale jest tak znakomity, że oko trudno od niego oderwać. Lud nazywa go cudownym i ze czcią modli się przed nim, inni zaś przypisują mu początek Rafaelowski. Takie pochwały najlepiej za nim przemawiają. Pomimo jednak wysokich i niezaprzeczonych tego obrazu zalet, pozwalam przecież sobie o tak wysokim jego pochodzeniu wątpić, gdyż zdaje mi się, że arcydzieło włoskiego mistrza nie mogłoby się tak długo w podobnem ukryciu i niewiadomości publicznej znajdować. Być może że to jest jaka znakomita kopia. W każdym razie, warto aby kto z naszych specyalistów metrykę jego wydobył.

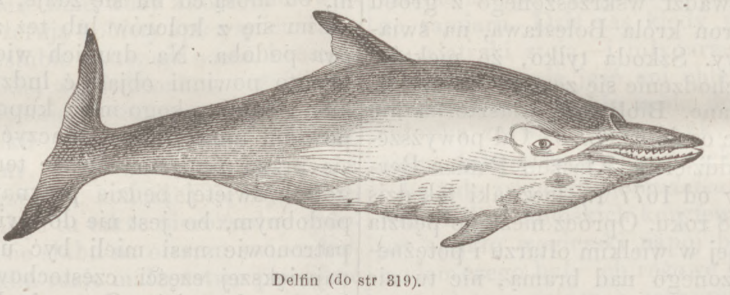
Tutaj, upoiwszy się widokiem tego piękna sztuki, przyszło mi na myśl pytanie: dla czego szczególniej po prowincjonalnych kościołach tak mało spotykamy obrazów dobrych i mających choć jakąśkolwiek estetyczną wartość? Czy brak nam na artystach? Nie. Proszę obejrzeć Galerją Wystawy Sztuk Pięknych w Warszawie, a przekonamy się, iż pomimo małego poparcia z naszej strony, posiadamy zdolnych a nawet kilku rozgłośnej sławy malarzy. Jakaż więc może być inna tego przyczyna? Zdaje mi się że nic innego, tylko brak rzeczywistego pojęcia piękna w kupujących i brak dozoru, albo raczej obojętności w zarządzających kościołami. Pierwsi, jako ludzie czyniący w dobréj wierze i bez wykształcenia, mogą być uniewinnieni, bo niosą co im się zdaje, składają na ofiarę to, co im się z kolorów lub też z większego dziwactwa podoba. Na drugich więc cała wina spada. Oni to powinni objaśnić ludzi i ofiarodawców jakie, gdzie i u kogo mają kupować obrazy; oni to powinni umiejętnie tłumaczyć, iż kiedy modlimy się przed nimi, to niechże ten wizerunek świętego lub świętej będzie przynajmniej do człowieka podobnym, bo jest nie do uwierzenia aby wszyscy patronowie nasi mieli być ułomnymi, jak to po największej części częstochowscy bazgracze nam ich przedstawiają. Czyż nie lepiej że cała parafia złoży się i kupi jeden obraz a dobry, aniżeli pozwalać co rok zawieszać nowe na ścianach świątyni *bohomazy?* Czyż nie lepiej powiedzieć parafianom aby raczej inną rzecz jakąś pożyteczniejszą kupili, aniżeli te tuziny najdziwaczniej namalowanych postaci, z krzywemi ustami, z wybitemi łopatkami, z sześcioma palcami u ręki i t. d. i t. d. Doprawdy, takie wota, przy dzisiejszym stanie sztuki, śmiech tylko i roztargnienie wzbudzają. Ale odezwą się może obrońcy *bohomazów*, cóż robić, nie przyjąć gdy ktoś ofiaruje? Rozumie się że nie przyjąć, bo Świątynie nasze są przybytkiem Pańskim, a nie schronieniem karykatur i śmieszności. Ależ ofiarodawca może się tem zgorszyć? Nie, zaręczamy że się nie zgorszy skoro się dowie o przyczynie nieprzyjęcia; tylko że trzeba nad tem popracować, pochodzić, może nawet nie jednę przykrość połknąć i strawić, lecz przy dobrej chęci i woli wszystkiego można dokazać, a już w tej materji to warto naprawdę starania nadłożyć.

Na tych słowach podróż moję nad Wartę zakończam.

DELFIN.

Delfin, z kształtu i zwyczajów podobny jest do ryby, pod względem jednak wewnętrznego układu i innych cech fizjologicznych niczém się nie

różni od zwierząt ssących, co też spowodowało, że uczeni naturaliści do tych ostatnich wespół z wielorybem go zaliczyli. Delfiny jednak są daleko mniejsze od wielorybów, mają głowę niewielką, na przodzie mniej więcej zeszczuploną, a niekiedy nawet w długi pysk przedłużoną. I tém się też różnią jeszcze od wielorybów, że nozdrza mają przebite pionowo pod kością czołową, a ztąd nie potrzebują podobnie jak wieloryby wystawiać końca pyska z wody do oddychania, gdyż oddychanie samego wierzcha głowy na to wystarcza. Oczy mają małe, ciało podłużne, nagie, w ogóle białe, a miejscami czarne. Zwierzęta te, jakkolwiek ssące, nóg nie mają, lecz miejsce przednich zajmują dwie pletwy, miejsce tylnych — ogon opatrzony dwuklapową poziomą pletwą. Zmysły delfinów bardzo słabo rozwinięte: otwory słuchowe małe, przebite w grubéj czaszce, nie zapowiadają bytności tego zmysłu; węchu prawie nie mają, a smak prawdopodobnie nie lepiéj musi być wykształcony; organów dotykania wcale nie mają. Tylko zmysł widzenia mają rozwiniety lepiéj. Delfiny żyją we wszystkich morzach pod wszystkiemi szerokościami geograficznemi, a niektóre nawet gatunki wchodzą do rzek większych w Europie, Azji i Ameryce. Zwierzęta te żyją towarzysko, w ruchach są bardzo żywe i bystre, lubią towarzyszyć okrętom i łowić gromadzące się przy nich mniejsze ryby, prócz których żywią się też mięczakami i innemi morskiemi tworami, a nawet napadają na ludzi kąpiących się lub pływających w morzu. Poławiają je dla tranu.



Delfin (do str 319).

ROZMAITOŚCI.

— **Zapałki.** Z nadesłanych przez wszystkie kraje na Wystawę Paryzką w r. z. zapałek, pokazało się że wiedeńskie są najlepsze, i że o wiele wyprzedziły podobne wyroby w innych państwach, a szczególniej we Francji. Angielskie zapałki są grube jak patyk, za bardzo siarkowane, a francuzkie przy samym najgorszym wyrobie, posiadają tyle siarki, że zdaje się że je naumyślnie robią dla zanieczyszczenia powietrza. Nasze zapałki są znacznie od francuzkich lepsze, a jest też wiele ich gatunków w niczem nieustępujących wiedeńskim, ponieważ wedle tego samego przepisu są wyrabiane. Miasto Kraków wystawiło swój herb z kolorowych zapałek utworzony; z daleka wyglądał on tak jak obraz grubemi paciorkami wyszyty. Wyrabianie zapałek nie jest to wcale tak małą gałęzią europejskiego przemysłu, jakby się na pierwszy rzut oka wydawało, gdyż jakkolwiek są tu małe kawałeczki drewna, to zużycie ich jest nadzwyczajne a ciągłe. We Francji liczą że na każdą osobę średnio biorąc zużywa się sześć zapałek. W Anglji 8, a w Belgji 9. O zużyciu w innych krajach nie ma pewnych danych. Biorąc jednak zużycie we Francji za średnie dla całej Europy, to mielibyśmy w takim razie zużycie to dziennie w całéj Europie dwa miljardy zapałek wynoszące, co jest już pewnym w swym rodzaju ogromem, potrzebującym codzień ośm centnarów drzewa, co stanowi na rok 400,000 metrów kubicznych, równających się prawie 200,000 naszym sążniom kubicznym drzewa. Nie bagatelna to zatem fabrykacja i to dla potrzeb samej Europy. Do tego wypada dodać teraz odpowiednią konsumcję siarki, kleju, chloranu potażu, mineralnych farb i t. p. A prócz drewnianych zapałek zużywa się jeszcze bardzo wiele stoczkowych, papierowych i t. d. Największe fabryki zapałek istnieją w Austrji, jedna z nich zatrudnia około pięciu tysięcy robotników. W ogóle rachują że w całej Europie wyrób zapałek zajmuje przeszło 30,000 robotników, a wartość wyrobionych produktów dochodzi do pół miljarda złotych polskich.

Początek zapałek przez pocieranie zapalających się datuje się od roku dopiero 1832, a raczej 1835, bo w tym roku najważniejsze w nich udoskonalenia były dokonane. Jakkolwiek wynalazek zapałek przyniósł ludziom niezaprzeczone dogodności, i w porównaniu z krzesiwkiem, lub kawałkiem papierka nasmarowanego siarką, jaki trzeba było do węgielka wydobytego z zarzewia przykładać, to przytem ma on i swoje straszne wady. Ileż to bowiem przy nieostrożności wynikło przez nie pożarów? Ile to nawet ludzi zginęło i ginie codzień wstąpiwszy przypadkiem na zapałkę, którą ktoś porzucił? A do tego trzebaby też dodać i różne choroby płuc i oczów, jakie z nieprzezornego używania zapałek powstają. Jest to bowiem nagannym zwyczajem palić wiele zapałek w pokoju, kiedy z powodu pozamykanych szczelnie okien, jak podczas zimy, powietrze prędko i należycie odmieniać się nie może. Wiele osób niezastanawiających się nad najpospolitszemi nawet rzeczami, w pokoju niewielkim, szczelnie zamkniętym paląc fajkę lub cygaro, które im często gasną, raz po raz zapalają zapałkę. Wskutku tego robią w swem mieszkaniu nadzwyczajnie niezdrową atmosferę, w której najzdrowszy człowiek bezkarnie długo przebywać nie może. Przy takiem nieprzezornem postępowaniu, cóż dziwnego że teraz dzieci muszą używać okularów, kiedy dawniej sędziwi starcy niepotrzebowali tego. A ile to tu powodów ukrytych owych przeróżnych innych słabości, które ani znanemi nawet były pokoleniu co nas poprzedziło. Najznamienitsi też lekarze i badacze we wszystkich krajach Europy, na to się jednozgodnie zgadzają, że znakomita część chorób nowych, z owej długiej a bez końca litanji słabości, jakie nieznane dawniej, dziś sypią się jak z puszki Pandory, pochodzi głównie ze złego żywienia się, albo z przebywania w miejscach mających zepsute powietrze, niezdolne do utrzymania życia. Można sobie bowiem gorsze już utworzyć powietrze, jak przepełnione dymem tytuniowym i dymem ze spalenia kilku lub kilkunastu zapałek powstałym, w której to potem atmosferze siedzi się lub śpi przez godzin kilka. Wprawdzie są zapałki pachnące, z których nie słychać owej nieprzyjemnej woni jak przy paleniu zwyczajnych, ale to nie zmniejsza wcale złego, bo w powietrzu pomimo pozornego zapachu, będą zawsze zjadliwe chemiczne gazy. Aby się uchronić zatem od złych następstw z używania zapałek, trzeba koniecznie w pokojach przez roztwieranie okien odświeżać powietrze.

F.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.